

Maria Konopnicka

## DZIADY

- A wy, Mikołajko, nie pójdziecie to dziś na Zaduszki? - zapytałam stając w progu ogrodniczej izby, do połowy zawalonej świeżo wyciętą kapustą. W izbie szarzał już po kątach wczesny mrok listopadowy, surowa woń jarzyn i ogrodowizny napelniała jej wnętrze. Pod zatkanym słomą okienkiem siedziała na niskim zydlu "stara", jak ją zwykle zwano we dworze, w przepasanym grubą płachtą tołubku, z szeroko wyłożonym na ramiona kołnierzem zajęczym, obierając wielkie, przemarzło nieco kapuściane głowy. Ręce jej, zgrabiące z zimna, trzęsły się przy tej pracy, żelazny wąski nożyk skrzypiał w soczystych głąbach, a głowy padały z głuchym łoskotem na coraz rosnącą kupę.

Biała królicza przysiadła na nogach "starej", grzejąc je swym puchem i ogryzając lecące spod nożyka liście: kilkoro młodych goniło się z piskiem i tupotem po ubitej z gliny podłodze.

Smyrgnęły, gdym weszła, pod przycieś, a "stara" podniosła głowę i wypatrzyła się na mnie zblakłymi oczyma.

- Nie pójdziecie to dziś na zaduszki? - powtórzyłam głośniej, wiedząc, że Mikołajka nie dosłyszysz nieco.

Rzuciła ramionami.

- A mnie co po zaduszkach? - rzekła. - Będzie tam i beze mnie gawronów dość...

- No, przecież pacierz zmówić, popatrzeć...

- Ii... Paciorek święty to ja i tu sobie, nie wymawiając Panu Jezusowi, odmówię; a patrzeć na co ja ta będę? Jak się baby popiją, albo i chłopcy?

Uderzyła energicznie nożykiem po głąbie, kilka liści opadło jej z kolan. Naraz westchnęła.

- Oj, widziałam ja, pani moja, zaduszki nie takie! - przemówiła po chwili. - Ale to nie tu, nie tu! Tam się to ono nawet inaczej nazywa. "Dady" tam się nazywa, nie zaduszki. Już takie ludzie tam żyją, co wszystko inaczej nazywają.

Przysiadłam się do starej.

- I gdzie to Mikołajka te "Dady" widziała?

- Ono to, proszę łaski pani, jest Wołynie takie, a tam wieś taka Kanonicze. niby taki kraj. na podob naszego; ale że nie ze wszystkim... To jak my na owo Wołynie z nieboszczką panią z Zielonek, świeć Panie nad jej duszą, wyciągali, to się tam człowiek różnych rzeczy napatrzył! Bo to i naród inszy jest, i obrządzenie wszelkie takóże insze...

Na cmentarzu, na ten przykład, to nie tak, jak u nas, co to krzyż jeden duży na wpośrodku. a już te mogiłki wedle niego, jak mogą, tak się tulą Tam krzyż przy krzyzie sterczy, jakoby las jaki. co go śmierć z liścia otrzęsła i z zieloności wszelakiej; a wysokie to wszystkie jeden w jeden, z sośnie takich wyrobione, że to ha, jako że lasów tam dostatek i o drzewo nie ma skrętu. To drugi krzyż stoi, stoi, aż i zgnije, i obalić by się rad, a nie majak i któredy; to się ino na ramieniach tych inszych zeprze i tak trwa... A na każdym krzyzie, proszę łaski pani, przewiązana płócienna zapaska, ot, fartuch taki, czasem długi, jak zwyczajnie dla niewiasty, a czasem jakby dzieciński, taki króciutki... Ot, jak się tam kto przepomóc może ze swoją biedą. Ale że na każdym wyszyty w rogu albo na wpośrodku krzyzik, albo i dwa, i trzy krzyziki czerwoną wełną, jako że to niby ochfiara jest za tego nieboszczyka, co tam leży. To jak się czasem wiatery pod noc porwie, a tymi krzyżami skrzypieć zaczniesz a zapaskami łopotać, to taki

świst, taki jęk, taki lament, że aż psi wyją. To nie daj Boże iść człowiekowi w pobliskości, taki strach. A w cichość, jak miesiąc zejdzie, to tak one płótna bieleją jak żywe... Właśnie jakby te duszyczki spod ziemi wynikły i w gnieźleczkach śmiertelnych po onych mogiłkach swoich stały... Ot, nie trza pod wieczór wspominać...

Przeżegnała się stara nożykiem w rękę trzymanym, szepcząc „Wieczny odpoczynek”.

Po chwili tak mówiła dalej:

- A że choć i mogiły, to tam sobie naród inaczej funduje. Tu sobie mogiłka zwyczajna, z piasku sypana, zarośnie darnią, to i dobrze, a nie zarośnie, to się w ziemię wdepce i do cna rozsypie... A tam, pani moja, to sobie mały duży "przykładziny" funduje.

- Cóż to za "przykładziny"?

- Ano, to taki, proszę łaski pani, kloc sosnowy albo i dębowy, siekierą z gruba ociosany po wierzchu, jakoby to wieko trumienne, mający u góry gałąź jedną ostawioną i przyciętą w głowach nieboszczyka na maluśki krzyż, co z onej przykładziny samorodnie wynika, jakoby rosnał. To jak na on cmentarz człowiek zajdzie, a po onych przykładzinach pojrzy, to właśnie jakoby ziemia się otworzyła i trumny na wierzch wyszły, a umarli wstawać mieli... A jeszcze spod onej przykładziny sterczy wiechetek ze żytniej słomy, co nim trumnę pokropują święconą wodą... To z jednej strony kłosa sterczą, a z drugiej słoma, a w pośrodku przykopane ziemią, a nad wiechetkiem gałąź od onego kropidelka. Drugi raz, jak gałąź wierzbowa je, a mokry czas przyjdzie, to i basiorów dostanie jak żywa, i liść puści, właśnie jako ta różdżka Aronowa, co to o niej w godzinkach stoi. że się stała kwitnąca i owoc rodząca...

Spuściła głowę i zaszeptala z cicha: "Zdrowaś Panno Mario". Mrok po kątach coraz gęstniał, króliki poszły spać w jamę, ręce starej opadły. Chwilę trwała cisza.

- No dobrze, moja Mikołajko, ale te „Dziady”? - zapytałam, gdy skończyła szeptać zdrowaśkę.

- A cóż, "Dziady", jak "Dziady"... Nie daj Boże takich "Dziadów" nikomu

- I jakże to było? - nalegałam, widząc, że stara w zadumę zapada.

- A to, proszę łaski pani, tak było, że jak my tam z nieboszczką panią do owej Kanonicze wyciągli. to tam przy dworze było chłopczysko, niby do pasenia. Niedolelnie to jeszcze było, ze szesnaście lat może, chude, delikatne, blade, że to nie z chłopskiego stanu szło, tylko z takich Mazurów, co tam koloniami z dziada pradziada siedzą i do szlachty się piszą wszelaki oporządek inszy niż ten prosty naród mają, czy to w imieniach, czy w ubierach swoich, czy w każdej najmniejszej rzeczy. Tak temu chłopakowi było Justyn, ale że na niego czeladź wołała po prostemu "Ustim".

Z pół roku już ono chłopaczysko służyło przy dworze, kiedy mu matka, z onych Mazurów szlachcianka, od rodu, męża odbiegła i z dwojgiem dzieciaków małych do Cygana, co w trzeciej wsi kowalował, mieszkać poszła. Gdzie ona ta tego Cygana uznała, tego nie powiem, bo nie wiem; ale że okrutnie się w nim rozmiłowała, choć tam ludzie powiadali, że i nie było niczym, bo to Cygan jako Cygan, czarny na gębie, a jeszcze że był i dziobaty. Ano, jak się też to do nas doniosło, tak mego Ustima jakby z nóg ściał. To caluśki dzień, pani moja, w czeladni się nie pokazał, ani na południe. ani na kolację, tylko jak bydło przygnał, tak się rznął o ziemię w oborze, kożuchem się z głową nakrył, musi płakał, bo się ono kożuszysko tylko na nim trzęsło, ale że głosu nic z siebie nie puścił. taką ambicję miał. Dopiero na drugie południe jeść przyszedł- To aż mnie coś przenikło, jakim na niego spojrzęła, taki na twarzy bledziński był, taki

zmizerowany, a te oczy to mu się tylko świeciły spode łba, choć ich ta wielce od miski nie podnosił. Ale co! A bo mu to dali spokojnie zjeść? Zara go ta obsiedli, zara prześmieszki, zara dogadywki, tak też rznął łyżkę, zabrał się i poszedł. Wyleciałam za nim. wołam: "Ustim! Ustim!" Chciałam mu ta kawałek sera pódetknać na pocieszenie... Ale gdzie! Ani się obejrzał, tylko czapkę nacisnął, oczy pięścią zatkał i dalej do obory... I tak sumował, pani moja, więcej niż przez dwie niedziele; to wyschnął jak ta drzazga, szerniał jak ta święta ziemia, a gadać to jakby zapomniał... Jednej niedzieli urwała się ona matka od swego Cygana i przyleciała do syna. Jak ją najrzał z daleka, tak wlażł na strych w słomę i siedzi. Chłopaki za nim: "Ustim! złaz do matki. Matka przyszła". On nic. "Cyganiacha przyszła!" - krzyknął któryś. On nic! Aż i ona matka do drabiny podeszła. "Justyś! - woła - Justyś, synku! A zleż ino! Niech cię moje oczy uwidzą!" On nic. Zapłakało sobie tedy ono kobiecisko, niech ją ta Bóg sądzi, położyło na szczebelku bułkę pszenną i parę jabłek dla syna, zabrało się i poszło. Pod wieczór dopiero chłopak ze strychu zlażł, bułkę i jabłka dzieciakom oddał, a sam jak się nie puści gościńcem, jak się nie rzuci na drogę, co nią matka odeszła, jak nie zacznie tę świętą ziemię całować, jak nie ryknie: "mamo! mamo!...", to, pani moja, aż się wnętrzności przewracały w człowieku słuchający... Ano nic. Przeszedł znów tydzień, przeszedł drugi. Co ono chłopaczysko trochę porzeźwieje w sobie, to znów mu tam który oczy owym Cyganem wykluje, to znów mój Ustim nie je, nie pije, od ludzi ucieka, a po kątach płacze tak, że w tych łzach swoich umyć by się mógł. Oj, nie daj Boże takiego życia nikomu! A ona kowalicha równo musiała syna tego bardzo miłować, bo co i raz to do niego zabiegała, to mu płótniankę przyniosła, to nową koszulę, a to posilenie jakie...

Ale się z chłopakiem nigdy zobaczyć nie mogła, bo jak tylko zasłyszał, że matka, tak uciekał w ostatnie kąty, dziw, że się pod ziemię nie wkręcił. Dopieroż kiedy odeszła, to w pole jak zapomniały leciał i po swojemu wołał: "mamo! mamo!" A jedzenia, co przyniosła, to nigdy nie tknął, ani tego obleczenia na siebie nie brał... Obdarł się, obłachmanił, a nie brał. A ta żorota to go tak zjadła, zniszczyła, że chodził jak ten cień, sam sobie niepodobny, skóra tylko a kości. A te oczy to mu się tak świeciły, jak to próchno leśne. To insze chłopaki idą w święto do kościoła, a potem do karczmy na tańce albo w kręga grają, albo tam jakie niebądź przepowiedki gadają, a on nic. Ani jemu pacierz w głowie, ani kompanija, tylko się z tym swoim żalem jak z wilkiem mocije, od ludzi stroniący. nijakiego pocieszenia nie szukający. Przychodziła matka - źle; przestała przychodzić - jeszcze gorzej. Ten cierń kolący więcej w sobie miazgi ma niżeli on ciała. Dziw, mu te kości skóry nie przebija. Mocowało się tak ono chłopaczysko w sobie, mocowało, aż też pod jesień jakoś wzięło się i utopiło, nie mogący zwyciężyć tej swojej żalości.

Ano, dobyli go ta koniarki dragami z onej wody, zjechała komisya, opisała, co i jak. i dobrze. Z pięć dni to ta było tego rejwachu, aż go też i pochowali na rozstaju pod lasem w nie święconej ziemi, zwyczajnie, jak takiego samozbójnika, co sam sobie śmierć robi. Ino żem mu obrazik dała w ręce, żeby już tak całkiem bez Pana Jezusa z tego świata nie schodził, i w tę koszulę nową go oblekłam, co mu matka przyniosła i co jej za żywota nosić nie chciał. Ot. żal się Boże takiego pochowu! Mogiły mu też ta wielce nie fundowali, tylko wedle tamtego obyczaju siaki taki naręcze chrustu przyniósł i cisnął. A dzieci, chłopaki, to gałęzie ciągały suche, to badyle wszelakie, co kto mógł. A nie opodał stał krzyż choleryczny, zwyczajnie jak na rozstaju, że tam mór kiedyś był i ludzie się od

nagłej śmierci krzyżem warowali.

Przeżegnała się stara i znów szeptać pacierz zaczęła.

- A cóż matka?

- Matce to my ta nijakiego orędzia nie dawali. Nie przychodziła, to i nie przychodziła. A co? Chora może, a może się już tak od onego nieboraka odbiła, że to do niej gadać nie chciał. Ano, wyszło tak kilka niedziel, a ona Ustimowa mogiła jak rosła, tak rosła. Kto do lasu albo i z lasu szedł, to każdy bodaj gałązkę, bodaj szyszkę dorzucił. Taki już tam obrządek ludzie mają. Aż też przyszły Zaduszki, niby te ich "Dziady", co się w ten dzień po cmentarzach naród tamten modli za ojców-rodzicieli, za dziadów, pradziadów...

Szli na one "Dziady" pańscy ze dworu, poszłam i ja, bo to w takim dniu zawsze lepiej kupą się trzymać, broń Boże jakiego przestachu.

A droga na cmentarz wypadła jak raz koło onego cholerycznego krzyża i onej Ustimowej mogiły. Dochodzim, patrzę, kopiec okrutny. Tak ludzie do niej. Powiadają, że Ustimowa duszę oczyścić trzeba. Ano, nie wiedziałam nic, jakie to oczyszczenie. Chrustu naniesiono tyle, że to więcej niż półstoże siana. A pod krzyżem na przydrożu dziad pacierz mówi głośno i krzesiwem o krzesiwko krzesze. Tak go zaraz ludzie obścapiłi dokolusieńka, dzieciaków się też tam nabrało skądciś jak mrowia. A mnie zara coś tknęło. Tak pytam starego Neściora, co to będzie? Jeszczem przerzec nie zdążyła, a tu mi, pani moja, w oczach cości zaświeciło... Pojrzę ja, a tu z onego dziadowego krzesiwa padła iskierka jedna, potem druga, zatrzeszczały badyle, spełgły w górę, jakby kto pióro osmalił. Dziad znów ognia krzesze, a modli się głosem... Lecą iskry w chrust, jak te ptaki złote, lecą, przelatują, chrustu się chwytają, a gdzie szczelinka jaka, tam się dobywa dym siny, gryzący... Trzeszczą gałęzie, tleją, zwijają się w sobie jakoby gadziny, skwierczą szyszki, smolna żywica syczy, kapie... Aż jak nie buchnie naraz całe płomienisko, jak nie ogarnie onej mogiły, jak się nie zaczną iskry siać, trzeszczeć, pryskać, jak nie wywałą się dymy czarnym słupem, aż pod samo niebo...

To, pani moja, drugi raz i chałupa się pali, a takiej łuny, takiego ognia nie ma. Pojrzę ja na on krzyż, w czerwieni cały stoi, a te rany Chrystusowe jakby żywe, a ten bok jakby krwawiący... A ludzie też czapki pozdejmowali, pacierz mówiący. Tak mnie zaraz ogarnęła taka żałość, taka skrucha, żem na kolana padła, jakby mi kto nogi podciął, i bić się w piersi zaczęłam. Boże, bądź miłościw grzesznej duszy jego! Boże, bądź miłościw...

Wołam ja tak do tego Pana Jezusa, pani moja. kajać się za duszę onego chudziatka, a tu wrzask: Justyś! Justyś! Synku! Justyś! Patrzę ja, leci ona kowalicha nieboga, jakby ją wichur niósł, koszula na piersiach rozerwana. chustka z głowy spadła, ręce rozciągnięte... Na pożar leci wprost, na oną ognistą mogiłę synowska. Rozstąpili się ludzie, ten i ów szepce: "maty" - że to niby matka, więc jej przystęp wolny. A ona jak nie krzyknie raz jeszcze: "Justyś! Justyś!" - jak się nie zanieśie wielkim, nieludzkim rykiem, jak się nie rzuci w ono płomienisko... Pani moja, żem ja tam trupem, patrząc na to, nie padła, to cud boski! Runęła tak jak ta kłoda - w sam środek ognia, w sam środek, jak ta powięź słomy... Zrobił się wrzask, krzyk; odciągnęli ją ta ludzie, zaczęli wodą z rowu lać, ale co... Głównia to już tylko była. Na twarzy, na rękach, na piersiach szerniała jak sadze. Już tam w niej nie stało ani tchu... Tylko te nogi bose, niedogorzałe, co nimi te swoje dróżki odprawowała do syna. z daleka się bielily... A spod onego mogilnego chrustu, spod ostatniej warszty. kiedy to już dobrze przygrzało, wypełznął żmij- rozciągnął się. skurczył, znów

się rozciągnął, podniósł łba i do boru poszedł... Tak zara ludzie powiadali, że to on grzech przeklęty...

Takie to ja, pani moja, "Dziady" widziałam.

Podparła ręką stara zwiędłą swoją głowę i zaszeptała: "Wieczny odpoczynek".

K O N I E C